



Zbigniew Okoń

Łuny nad Wołyniem

Nastolatek wśród ludobójców

Zbiec w ciszę, zamknąć powieki
Rozstać się z światłem i cieniem
I czas dziecinny, daleki Ożywić, wrócić
– wspomnieniem. Czy warto odkrywać
blizny? Choć może boli – to trzeba By
więcej ceniono Ojczyznę I zwykły
kawałek chleba.

Sześć lat wojny wypadło mi przeżyć od 12. do 18. roku życia. Nim jednak wybuchła, pragnąłem ją gorąco jak dobrą zabawę, jak coś bardzo ciekawego. Gdy się skończyła, nienawidziłem jej, nie tak za okrucieństwo, jakie z sobą niosła, jak za bezsensowność jej w pojęciu człowieczym. Ale te 6 lat pamiętam lepiej jak następne półwiecze. I co ciekawe, czasem te niepozorne zdawałoby się zdarzenia z tego okresu zyskały dłuższą moc przetrwania. Choćby czyjeś dobre oczy, wyciągnięta pomocna dłoń, warkocz nieznannej dziewczynki z czerwoną kokardką, żołnierska furażerka.

Łuny nad Wołyniem

Spełnione marzenie (Hoszcza, wrzesień 1939 roku).

Daleko z głębi nieba wypłynęła łagodnie eskadra samolotów. Ciężki warkot motorów wchłaniał mnie coraz bardziej w orbitę swoich drgań. Nareszcie! Na pewno zobaczę polskie samoloty w całej ich okazałości. Ach, żeby to być pilotem! Wojna już trwała 10 dni a ja jeszcze nie widziałem samolotu. A taki byłem głodny wrażeń i przeżyć. Jak dotąd tylko w snach dokonywałem cudów waleczności. Byłem bohaterem wyróżnionym, odznaczonym, mianowanym i kto tam wie, kim jeszcze.

Tak naprawdę to tylko w koleżeńskich sporach mogłem wykazać się czynem, który przecież w czasie wojny w ogóle się nie liczył.

Ale teraz leciały wprost na mnie trzy samoloty, z których każdy niósł w moim kierunku zwiastun bezpośrednio odczuwanej wojny. Szczególnie poczułem to wtedy, gdy z ziemi zaterkotały karabiny

maszynowe. Tak – to jednak nie byli nasi. Warkot potężniał. Zagłuszył go na jakiś czas jęk spadających, a potem wybuchających bomb.

Wojna! Dotarła już do nas.

Wojna, ta wyczekiwana, najprawdziwsza. Nie ta z harcerskich biwaków i manewrów czy też podwórkowych zabaw. Mieć teraz karabin i strzelać, strzelać... Na pewno bym trafił, wszyscy by widzieli, jaki jestem.

Tymczasem ludzie mojego miasteczka, gnali na przemian w różnych kierunkach, nawołując się wzajemnie. Gdzieś zapłakało małe dziecko. Samoloty przeleciały nad naszą dzielnicą i znikły w dali nie czyniąc nic groźnego. Ludzie wychodzili ze swoich kryjówek, a ja byłem dumny jak paw, że nie uległem panice jak inni. Zresztą wojna wcale nie wyglądała na groźną. Niemile tylko brzmiał mi w uszach krzyk przestraszonych kobiet, a już szczególnie mojej mamy, która takiemu bohaterowi jak ja wlepiła za „odwagę” porządne klapsa.

Gorycz rozstania

Przyszły następne dni. Do szkoły przestaliśmy chodzić. Ach, co to była za frajda. Odczułem jednak wokół panujący chaos, który udzielił się również mnie. Dużo nowych twarzy, przeważnie uciekinierzy z zachodnich ziem: z Poznania, Warszawy, Bydgoszczy, Katowic, Krakowa i innych miast przybywało coraz więcej osób. Nowo uformowany batalion, który stacjonował w naszym miasteczku przygotowywał się do wymarszu na front. Miałem w nim już dużo znajomych, ponieważ przynosiliśmy im często owoce, pieczywo itp. Szczególnie zżyłem się z plutonem łączności stacjonującym w sąsiedniej stodole. Było w nim dużo kawalarzy, toteż nieraz pękaliśmy ze śmiechu.

Ale z frontu nadchodziły niepokojące wieści. Wojska nasze cofały się na całej Unii. Pewnego dnia niespodziewanie nasz batalion wymaszerował na front. Było to dla mnie niezapomniane widowisko. Orkiestra wojskowa grała marsz, w takt którego maszerowały kolejne jednostki. Gdy przechodził „mój” pluton, jakże żałowałem, że nie mogę iść z nimi.

Ale zapal mój nieco ostygł, gdy ujrzałem mdlejące z rozpaczy żony, długie, może ostatnie, pocałunki kochających się par. I zamiast spodziewanej radości ogólny smutek i płacz kobiet. Po odejściu batalionu, miasteczko ziejące pustką wyglądało na umarłe. Chciało mi się płakać, toteż zagryzłem wargi, by tego nie uczynić. A marsz wojskowy, który długo dźwięczał mi w uszach, kojarzył mi się zawsze przez długie lata ze smutkiem rozstania. Za dwa dni wkroczyli Sowieci.

Taka jesteś wojno

Zawierucha wojenna pognała nas do Równego. Wojna się skończyła, by znowu wybuchnąć z większą stokroć siłą w 1941 roku.

Spaliśmy jeszcze spokojnie, gdy zaczęły spadać niespodziewanie na miasto pierwsze bomby.

Wybiegłem na podwórko. Ludzie uciekali w popłochu. Jęk spadających bomb był coraz bliższy. Samoloty w liczbie kilkunastu były teraz nad nami. Każdy się chował, gdzie tylko mógł. Do domów, pod krzaki do pobliskich ogrodów. Ktoś na mnie krzyknął, porwał za kołnierz, rzucił na ziemię. Przerazający jęk pikujących samolotów, czy też spadających bomb zbliżał się jakby wprost na mnie. Chciałem się zerwać, ale odgłos detonacji spadającej gdzieś dalej bomby przyniósł pewne uspokojenie. Pomyślałem, ta już niegroźna. Za chwilę historia jednak powtórzyła się – z tym, że jęk był dublowany przez kilka spadających jednocześnie bomb. Tak trwało przez dobre pół godziny. Kiedy podniosłem się z ziemi ujrzałem, że część miasta pali się. Z sąsiedniego na wpół zburzonego domu – wyleciał człowiek-pochodnia. Wył rozpaczliwie trzymając się za oczy. Cały był czarny jakby obdarto go ze skóry. Czulem jak strach paraliżował moje ciało, jak nigdy dotąd. Tak mogłem przecież wyglądać ja albo moja matka... Zamarłem z przerażenia. Gdzie jest matka?

Mamo! Mamo! Leciałem do domu jak opętany.

Jest żywa. Z dziką rozkoszą wpadłem w jej ramiona. Przecież mogła już nie być. I zostałbym sam... przerażająco sam.

Ale teraz wiem, że dobre ramiona matki są w czasie wojny bezsilne.

Próba miłości

Dzisiaj znowu nadleciały samoloty niemieckie. Z jednego wydobywał się podejrzany gaz. Ludzie w pośpiechu zaczęli ubierać na ulicy gazowe maski. Kto ich nie miał, biegł do domu. Powstała panika. Niemcy puszczają gaz – leciało ostrzeżenie po ulicy, po domach.

A my bezradni nie wiedzieliśmy jak i gdzie szukać schronienia. Poszliśmy do gospodarzy domu. Gdy weszliśmy do mieszkania cała rodzina pana mecenasa ubrana już była w maski. Pozostała im tylko jedna i tę nam ofiarowali. Masz synku, ubierz – prosiła matka. Coś we mnie załkało, zabolalo. Zagryzłem wargi, by nie rozmazać się.

Nie mam, ubierz ty – ja jestem młody, przetrzymam.

Tymczasem przez okno widzieliśmy jak ludzie przytykają chustki do nosa. Tajemniczy obłok pozostawiony przez samolot powiększał się coraz bardziej.

Matka była zdenerwowana. Ubieraj, ubieraj – prosiła, bo może być za późno. Ja ubiorę na twarz mokrą chustkę... Targu nie dobiliśmy, choć matka nadal prosiła i groziła. W końcu przytuliliśmy się mocno do siebie, bezradni na to, co przyjąć musi. Maskę porwał jak skarb jeden z sąsiadów. Chociaż strach paraliżował całe istnienie, to jednak czułem w sobie coś niewypowiedziane wdzięcznego, że właśnie postąpiliśmy tak, a nie inaczej.

Pamiętałem o tym, że ojciec, nim Sowieci wzięli go do niewoli, powiedział mi: Teraz ty będziesz głową rodziny. I chociaż masz dopiero dwanaście lat, dbaj o matkę i siostrę. Dzisiaj czułem, że jestem głową rodziny.

Przeznaczenie czy przypadek?

Front nas gonił, chociaż uciekaliśmy przed nim coraz bardziej na wschód. Gdy po nalocie opuszczaliśmy miasto, ulice były puste, chodniki obsypane rozbitym szkłem. Na jednym z nich leżała zabita kobieta. W otwartych szklanych oczach pozostał strach. Długo, długo stała mi przed oczami. Zanikła wtedy, gdy twarzy zabitych, poszarpanych i sinych, przerażonych i zakrwawionych przybyło. W końcu strach przed śmiercią własną i najbliższych zabił strach wewnętrzny, który zawsze odczuwałem na widok zmarłego.

Nawet wierna suczka Rena, która towarzyszyła nam w ucieczce zaraziła się naszym strachem. Na widok samolotu pierwsza wyszukiwała nam kryjówki (fosę, krzaki, zboża), gdzie można by było być niewidocznym dla lotników, którzy z reguły posyłali serię z karabinu maszynowego, widząc cywili.

Pewnego dnia słysząc nadlatujące samoloty chcieliśmy się schować do pobliskiej stodoły. Nasza suczka już wcześniej skryła się nieco dalej w przydrożnym rowie. Choć niewiele było czasu solidarnie pobiegliśmy za nią. Wybuchło koło nas kilka bomb, zaterkotał karabin, ale potem nastąpiła cisza.

Och! Jakby się chciało, by trwała wiecznie.

Ruszyliśmy naprzód, wycalowawszy uprzednio naszą psinę, bowiem ze stodoły nie zostało już prawie nic.

Matka twierdziła, że to przeznaczenie, ale ja sobie myślałem, że to zwykły przypadek. I że to on rządzi światem, ludzkim życiem. Może nawet sam człowiek jest tworem jakiejś tam nieskończonej ilości przypadków.

Egoizm

Przybyliśmy do miasteczka Hoszcza, gdzie mieliśmy znajomych. Zdawało się nam, że tutaj na uboczu, z dala od głównych szos nic nam nie grozi. W tłumoczkach dźwiganych przez nas mieścił się nasz cały dobytek. Tu, gdzie wojna jeszcze dobrze nie zaglądnęła, ludzie byli nieco spokojniejsi i weselsi. Mimo moich czternastu lat miałem już nad nimi przewagę: wiedziałem co trzeba robić – zaraz zabrałem się do kopania schronu. Śmiali się ze mnie ludziska, a szczególnie rówieśnicy – ja jednak robiłem swoje. Na wieczór schron z dachem był już gotowy. Też nocy nadleciały samoloty zrzucając grad bomb zapalających. Wszyscy domownicy (i ci co się śmiali) uciekli do „mojego” schronu. Pan Stolarski, jako mężczyzna w sile wieku, stał przy wejściu. Tymczasem bomby spadały coraz bliżej, a ziemia z bocznych ścian i okapu coraz więcej sypała się na nas. Szept modlitwy dodawał mocy grozie, która ogarnęła wszystkich.

Punktem kulminacyjnym był moment, gdy przeraźliwy jęk spadającej bomby zapowiadał nasz koniec. Na domiar złego, pan Stolarski zawył nieludzkim głosem: Rany Boskie... prosto na nas! I wyrwał ze schronu zostawiając żonę i małe dzieci. Wybuch spadającej tuż bomby ogłuszył nas nieco. Nerwy napięte do ostateczności odczuwały teraz ulgę. Żyjemy. Gdy wyszliśmy ze schronu, zobaczyliśmy... piekło. Całe nieomal miasteczko stało w ogniu. Ryk bydła, jęk rannych, rozpacz pozostałych przy życiu, smród spalenizny powodowały, że chciało się uciec gdzieś, gdzie tego wszystkiego nie ma. Ale gdzie? Gdzie!

Rzuciliśmy się do ratowania jednego z ocalałych jeszcze domów. Stolarski, który cudem się uratował, wydierał z płonącego już domu szafę. Ryczał przy tym ochrypłym głosem: ludzie pomóżcie! Ludzie, coście za ludzkie! Od tej pory szafę zawsze kojarzę z ludzkim egoizmem.

Spotkanie z wrogiem

Są już Niemcy. Siedem „Tygrysów” buszowało po polu i wsi szukając niedobitków. Kiedy przybliżyli się do mnie, jakieś zimno przeleciało mi po ciele. Jaką miałem gwarancję, że nie będą strzelać do dzieci, do matki. Wystarczy, by jeden z nich pociągnął za spust. Zresztą słyszałem, że czasem nie oszczędzają nikogo.

Byli ubrani w czarne mundury, na uszach niektórzy z nich mieli słuchawki. Wydawane komendy w ich języku były obce i ostre. Jakże inaczej brzmiał język niemiecki, którego uczyłem się w szkole. Zrozumiałem, że ten drugi wróg jest potężny i zły. Byłem zupełnie zrezygowany. Czyżby czekała nas wieczna niewola, wieczny strach? Czołgi pojechały dalej, nastąpiło pewne odprężenie. Tymczasem przy jednym z domów zebrała się grupa kobiet. Poszliśmy w tym kierunku. Na ziemi leżał ciężko oddychający młody radziecki żołnierz. Całą prawą stronę zlaną miał krwią. Był tylko w koszulce gimnastycznej, spodniach i boso. Uciekł Niemcom już z niewoli. Dostał w ramię, zdjął bluzę, buty i uciekał, uciekał...

Wśród lamentu kobiet, z dala od swego domu konał ten młody chłopak. Na nic nie zdała się pomoc miejscowych. Jęczał tylko z żalem mówiąc:

– Zaczem nie ubił? Zaczem nie ubił?

Potem chciał coś przekazać matce, ale już nie zdążył.

Jatka

Po wielu perypetiach wracaliśmy do domu oddalonego o 45 kilometrów Ciężkie tobołki ugniatały umęczone ciało. Nogi odmawiały posłuszeństwa. Do tego słońce prażyło niemiłosiernie.

Szliśmy trasą, którą przechodziła linia frontu. Widziałem makabrycznie rozszarpane ciała ludzi i koni. Walały się obok nich, jak odcięte gałęzie, ręce i nogi. Przypomniał mi się sklepik mięsny, gdzie na hakach i półkach widać było poćwiartowane kawałki zwierząt. Ten obraz niczym nie odbiegał od tamtego tyle, że teraz i rzeźnikami, i ofiarami byli ludzie. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że człowiek, jego kości i mięso wcale się nie różnią, kiedy są w kawałkach. Ludzie, wtedy gdy są żywi i gdy są dobrzy przerastają swą wartością zwierzęta. Wartością. Bo co jest wart człowiek zły? Głowiłem się, dlaczego jeden jest dobry a drugi nie. Skąd to się bierze. Czy to jest wrodzone, czy też nie sposób tego wyjaśnić. Niemcy, którzy nas mijali, to też ludzie i też różni chociaż wszystkich nienawidziliśmy jednakowo. Niektórzy z nich nawet kiwali do nas przyjaźnie, próbowali nawiązać jakąś rozmowę. Ale zdecydowana większość coś tam krzyczała, groziła, przeganiała. Chyba po raz pierwszy w życiu ogarnęła mnie radość z powodu śmierci człowieka. To żołnierze niemieccy grzebali swoich poległych kamratów. I w moich oczach stracili oni dużo ze swej potęgi, chociaż niezmierzone kolumny parły ciągle na wschód. Ich można było też zabijać i ranić.

Zbliżała się noc. Szliśmy boso, toteż nogi były popuchnięte i okaleczone. Jacyś dobrzy ludzie przyjęli nas na noc. Dali trochę słomy i wody do mycia. Zapadliśmy po raz pierwszy od kilku dni w kamienny sen.

„Kto Cię utraci...”

Jesteśmy w domu. Ale nie ma w nim ani kawałka chleba. Wspólnie z kolegami poszedłem w teren szukać zarobku. Często wracaliśmy z niczym. Największe jednak możliwości były tam, gdzie obozowały kuchnie polowe. Z reguły bez pytania braliśmy się sami do roboty. Rąbaliśmy drewno, przynosiliśmy wodę itp. Jeśli kucharz nic nie mówił, to znaczy aprobował naszą pomoc, w innym wypadku doniosłe „raus” dodawało nam skrzydeł. W ten sposób przynosiłem do domu menażkę (nieodzowny ekwipunek) z zupą, względnie kawał wojskowego chleba. Sprawiało mi to wielką satysfakcję, że z całej rodziny byłem najbardziej aktywny, przez co awansowałem pewnie do głowy domu. Moja matka i siostra nie miały w tym czasie żadnych szans otrzymania pracy.

Wojna, która, zdawałoby się niesie z sobą same okropności, była jednak pewnego rodzaju szkołą życia. Nauczyła szanować pracę i chleb. Teraz, kiedy nie chodziło o podział słodczy, tylko o kromki chleba, czy też parę łyżek zupy, wpoiliśmy w siebie sprawiedliwy podział. Czy jednak tak było wszędzie?

Były wypadki, że głód przeciwnie czynił z ludzi istoty podobne do zwierząt. Widziało się to w kolejkach, gdzie stało się całą noc po ćwiartkę chleba, by w końcu go nie dostać, bo słabsi z kolejki zostali wypchani.

Jednak w sumie ludzie byli sobie bliżsi, lepsi. Mało kto dbał więcej niż o to, by przeżyć. Meble, ciuchy, „klasowości” prawie nie miały już znaczenia. Natomiast nucony po cichu hymn roztkliwiał mile, wciskał do oczu łzy. Słowo Ojczyzna nabrało Mickiewiczowskiego znaczenia: „Kto Cię utraci, ten tylko się dowie, ile Cię trzeba cenić...”. Ludzie wolni tej ceny nie znają.

Got mit uns

W Równem okupanci olbrzymi plac otoczyli wieżyczkami i drutem kolczastym. W wieżyczkach ustawione zostały karabiny maszynowe z lufami w kierunku placu, do którego podążały olbrzymie kolumny jeńców radzieckich. Było wśród nich wielu rannych. Kto nie mógł iść, był rozstrzelany na miejscu. Po raz pierwszy zetknąłem się z tym, że bezbronny i rannego dobija się jak psa. Ci, co to robili, na pasach mieli napisane „Got mit uns”. Przywłaszczyli sobie Boga do swoich morderczych celów.

Ale Bóg? Dlaczego na to pozwalał. Rodził się we mnie bunt. Poczęły się rodzić wątpliwości.

Codziennie z obozu wywożono kilka furmanek zabitych, zmarłych z ran, głodu i chorób. Ci ludzie byli przecież pod gołym niebem, bez okrycia i żywności.

Postanowiłem z kolegami im pomóc. Przecież mój ojciec też zaginął w czasie wojny i możliwe, że znajduje się w podobnej sytuacji. Wprawdzie nasza „pomoc” to kropla w morzu, ale chcieliśmy coś zdziałać. Wiedzieliśmy, że każda pomoc była karana, toteż postanowiliśmy działać uważnie. Chleba, sucharów nabieraliśmy bardzo mało, ale za to jabłek mieliśmy bardzo dużo. Podeszliśmy jak najbliższej drutu obozu, ale od strony drzew, żeby być niewidocznymi dla strażników i seriami przrzucałymi przygotowany zapas do środka obozu. Jeśli nikt nie krzyczał i nie strzelał, rzucaliśmy następną serię. Przy każdym „zrucie” tworzyły się małe gromadki. Ktoś nas zauważył bo kilku Niemców zaczęło biec z krzykiem w naszym kierunku. O mało nie pogubiliśmy nóg, gdy padł strzał. Ale strach ma także „wielkie nogi”.

Polska furazerka

Zostałem gazeciarem. Wpierw sprzedawałem je w rozbitych kioskach, potem bezpośrednio w ruchliwych punktach miasta. Najgorzej było w zimie. Miałem na sobie tylko strzępy rękawic, dziurawe buty, toteż palce u rąk i nóg drętwiały tak, że klienci sami pobierali resztę z dłoni. Taka przymusowa samoobsługa. Jak kot szukałem ciepła. Zaczęłem odwiedzać gmachy urzędów, w tym samej Reich-Ukrainy. Ponieważ wartownicy także kupowali gazety – toteż wpuszczali mnie do środka. Nie byłem rosy, wyglądałem najwyżej na 12-latkę, a po niemiecku szwargotałem już całkiem niezłe.

Gdy któregoś dnia wśliznąłem się jak zwykle do Reich-Ukrainy i rozprowadzałem gazety i tygodniki ilustrowane w jednym z biur, wszedł doń sam szef urzędu. Wszyscy poderwali się z miejsc. Ujrawszy mnie spytał – Was mach du hier? Odpowiedziałem, że sprzedaję gazety, chociaż dobrze wiedziałem, że chodzi mu o to, kto mi pozwolił tu wejść. A trzeba wiedzieć, że byłem w swojej ulubionej polskiej żołnierskiej furazerce. Pozostali Niemcy w pokoju stali na baczność wystraszeni. A ten zauważył moją furazerkę i jak nie krzyknie: Myce raus! Miałem zdjąć moją polską furazerkę przed tym niemieckim bykiem? Odpowiedziałem wymijająco: Ich nich warsztejn... Teraz jego krzyk przerodził się w ryk. Raus! Raus! Myce raus - rozumi?

Chociaż dreszcz przeleciał po mnie, patrząc mu w oczy hardo odpowiedziałem: – Ich bin Pole, nich wersztejn. Ogromna łapa z rozmachem przecięła tylko powietrze, bowiem w porę zrobiłem unik. I w drzwi... Chociaż jeszcze gonił mnie doniosły ryk, przeszedłem spokojnie obok wartownika jak gdyby nigdy nic i... chodu w miasto. A furazerkę wycalaowałem jak małe dziecko.

„Dom dzieci”

W mieście okupant przystąpił do likwidacji getta. Różne makabryczne wieści przychodziły z tej dzielnicy. I oto przylatuje sąsiadka z krzykiem, że matkę z ulicy zabrano do getta. Jak byłem boso, pobiegłem w stronę, gdzie było wejście do getta. Udało mi się ubłagać jednego z uzbrojonych gestapowców, aby poszedł ze mną na punkt zborny. Szukałem tam rozpaczliwie w tłumie innych kobiet, czy aby nie ma mojej matki.

W jednej z kamienic umieszczone były same dzieci. Setki zapłakanych i przerażonych twarzy wychylonych z okien wykrzykiwało swoje matki, będące zapewne widoczne z góry. Taki prowizoryczny Dom Dziecka, z którego maleństwa oglądały katowanie a nawet śmierć swoich najbliższych, względnie ich ostatnią drogę. Same też wiedziały, że czeka ich śmierć. Te, które próbowały ucieczki, leżały teraz pod budynkiem spokojne i nieczułe. Ale te, które żyły, bezbronne, bez wiary w litość swoich oprawców – jakież były nieszczęśliwe. Nawet padające od czasu do czasu strzały nie osłabiły potężnego jęku rozpacz, jakim gorzał ten okrutny dom z dziećmi.

Przerażony uległem psychozie otoczenia. Moje doniosłe Mamo! ginęło w ogólnej wrzawie. Pragnąłem tylko być z matką, nawet gdyby to miało nas kosztować życie.

Jakże rozumiałem teraz tych skazańców, którzy niczego już nie pragnęli, jak tego, by być do końca razem. Nawet wtedy, gdy dowiedziałem się, że matkę puszczone i jest już w domu, nie mogłem opowiadać swoich nerwów.

Przez wiele nocy byłem w snach razem z tamtymi dziećmi. W ich ostatnim domu. Widziałem rozpacz matki, wyciągnięte z daleka ręce, czując przerażająco bliskość śmierci, bez nadziei na jakąkolwiek pomoc z ziemi i nieba.

Iskra

Niemcy byli już pod Moskwą. Ale ta okrutna prawda nie zgasiła nadziei. Dochodziły wieści o tworzeniu się oddziałów partyzanckich i różnych tajnych organizacji. Dużo mówiliśmy o tym z Ryskiem. Grunt to się nie poddawać. I coś działać. Nie wiedziałem, na czym to miało polegać, ale Rysiek szybko mi wyjaśnił.

Masz klucz do skrytki pocztowej (byłem gońcem w niemieckiej firmie budowlanej) a przecież z niej można się dostać do innych. I rzeczywiście. Wsadził swą długą rękę do „mojej” skrytki i od tyłu wyjął z innych sąsiednich skrytek plik listów. One się przydadzą gdzie trza – powiedział. Tylko pst, ani słowa – przy czym pokazał ręką po gardle co nam grozi w razie wsypy.

Robiliśmy tak kilka razy. Jednak wpadliśmy. Coś tam zauważyli, Ryśka (ja stałem na warcie) złapano za rękę. Szamotał się jednak na tyle, że wyrwał ją ze skrytki, zatrzasnął, wepchnął mi do ręki klucz iw drzwi. Wylecieliśmy z budynku, Rysiek gdzieś zginął mi w tłumie. Byłem spalony, bom ja miał klucz. Bałem się o matkę, czy ją nie zaaresztują, jak ucieknę. Tylko gdzie? Za pocztę polową (były i listy z frontu) płaci się głową.

Powziąłem decyzję. Wyrzuciłem klucze i sam się zgłosiłem, że ja klucze zgubiłem. Ktoś pewno znalazł i dostał się do innych skrytek. Zbitego, na wpół żywego zamknęli do piwnicy. Tam przyszedł jeszcze atletycznie zbudowany Niemiec, by wydusić ze mnie prawdę. Wyjął pistolet, groził rozstrzelaniem, bił, kopał. W pewnej chwili poderwałem się z jakiegoś wysypiska węgla i odsłoniłem dotąd zasłoniętą czerwono-czarną twarz: „Sie haben auch kinder!” – wykrztusiłem patrząc mu prosto w oczy. Wyglądałem nie więcej jak na 12 lat. Coś tam w tym atlecie widać zadziało. Jakaś iskra człowieczeństwa zrobiła tym razem jeszcze swoje. Podniesiona ręka opadła.

Matka

Gestapo odprowadziło mnie do swego aresztu. Tam brali mnie kilka razy na przesłuchania. I obojętnie co tam ze mną robili, to ja tylko w koło, że „folitem szlisen”. Nawet gestapowiec, który był ukryty za skrytkami twierdził, że to mnie złapał za rękę (śmiałem się z tego w duchu), chociaż nie miałem żadnych śladów. Cieszyłem się bardzo, że nie sypnąłem, co zresztą dla mnie samego skończyłoby się tragicznie. Rysiek przecież miał powiązania, o których dla pewności nie wiedziałem. Nie znałem też jego adresu ani nazwiska i nigdy go już w życiu nie spotkałem.

W każdym razie wszyscy wróżyli mi karę śmierci. W podobnych wypadkach wykonywano wyroki doraźnie. I gdyby nie moja matka... Zrozpaczona i bezradna, zdawałoby się w swej niemocy, dotarła do kochanek oficerów gestapo, a nawet samego generała Wehrmachtu chudego jak patyk, którego kochanka miała co najmniej ze 100 kilo żywej wagi. Szła im za darmo sukienki, byle tylko one wstawiły się za mną do swoich opiekunów. I zapewne pomoc ta uratowała mi życie. Zawdzięczam to głównie matce. I prawdę powiedziawszy, wszystkie okropności aresztu (robactwo, głód, bicie) były dla mnie lżejsze od spotkania się z matką.

Kiedy zobaczyła się ze mną po raz pierwszy od czasu aresztowania, było tyle miłości i rozpacz w jej oczach, że musiałem zagryźć wargi, żeby się nie rozbeczeć. A ona widząc mnie tylko z daleka, podając strażnikowi dla mnie „podajankę”, zdążyła tylko powiedzieć: Jedz synku, jedz...

Chociaż byłem okropnie głodny – nic prawie nie jadłem, bowiem lzy pchały mi się do oczu. Dopiero w nocy dałem upust swojej tęsknocie i rozpacz, że nie mogę ulżyć jej w cierpieniu.

Przecież może mnie stracić na zawsze.

Żegnaj

Nocy bardzo oczekiwałem i jednocześnie bardzo się jej bałem. Kochałem te noce ciche, bez przekleństw niemieckich, bez przesłuchań i bicia. Chociaż wszelkie robactwo obiegło tysiącami nasze „nary” (pryce) – to i tak można było oddać się marzeniom o wolności, ojczyźnie i matce. Można się było nawet samemu pożalić i dodać otuchy.

Siedział ze mną w celi Wania z Białej Cerkwi. Prawdopodobnie udawał wariata, podejrzewano go, że jest radzieckim wywiadowcą. Zrywał się w środku nocy, walił nogami i pięściami do drzwi i wołał, by go puścić do rodziny, bo rodzeństwo małeńkie: braciszki i siostrzyczki. Ile ten człowiek dostał lania, zdawało się, że od razów kolbami po głowie powinien już dawno nie żyć. Ale on żył i powtarzał swoje.

Najgorsze jednak były te noce, kiedy klucz zgrzytał w zamku i doniosła komenda zrywała wszystkich na nogi. Wyczytywano nazwiska, co oznaczało najczęściej, że trzeba się zegnać...

Wyroki najczęściej zapadały zaocznie i wykonywano je doraźnie. Reakcja ludzi jest w takim wypadku bardzo różna. Śmierć? Często myślałem, jak bym zachował się ja. Czy sparaliżuje mnie strach, czy też będę spokojny i potrafię wykonać coś bardzo honorowego.

Z reguły, wychodzący towarzysze niedoli, słowem zegnaj lub praszczaj załatwiali wszystko. Ci, którzy zostali, już nie spali do rana. Nasłuchiwalismy, czy nie słyhać strzałów.

A ja widziałem wpatrzone w siebie ich oczy, mądre, smutne, wesołe i... wciąż jeszcze żywe.

Miał 18 lat

Z aresztu odtransportowano mnie do miejscowego więzienia. Cella, w której zostałem zamknięty była małą mekką narodów. Byli ze mną Polacy, Ukraińcy, Rosjanie, Żydzi, Czesi a nawet jeden Francuz. Ludzie różnych odcieni politycznych i klasowych. Najbardziej x żywotny był młody „paraszutista”. Wylądował na spadochronie w pobliskich lasach razem z trzema kolegami, a potem, gdy wyszedł na zwiad, wpadł w ręce Niemców. Ci potem wozili go nawet samolotem, żeby wskazał miejsce zrzutu. Pokazywał, i owszem, ale nie tam gdzie trzeba. A przy tym ze swadą umiał opowiadać te wszystkie swoje przejścia, że mimo naszej sytuacji, pękaliśmy ze śmiechu. On to właśnie dodał mi otuchy i odwagi mówiąc o tworzącym się w ZSRR Wojsku Polskim. Wierzył w zwycięstwo nad faszyzmem, chociaż z uśmiechem na ustach twierdził, że go lada dzień rozstrzelają. Miał tylko 18 lat. Przekomarzał się z oficerem radzieckim, utykającym na nogę, że go wcześniej załatwią ponieważ jest młody, a tacy są bardziej groźni. Naturalnie ten mu tłumaczył, że jako stary wojownik jest pierwszy w kolejce. I życia mu nie żał, bo jest inwalidą, tylko żał mu staruszki, która go przechowywała w ukryciu i leczyła przez wiele miesięcy. Była samotna i traktowała go jak syna.

Od takich ludzi uczyłem się hartu i pogardy śmierci. Miałem pecha. W trzy dni po wywiezieniu mnie do Brześcia, partyzanci zaatakowali więzienie i uwolnili część więźniów. Kto nie zdążył zbiec, został rozstrzelany przez Niemców.

A ty młody paraszutisto? Czy przeżyłeś wtedy swoje 18 lat?

A ty stary żołnierzu, czy wróciłeś do swojej przybranej matki staruszki?

Kruszynka

Ostlager Briest-Litowsk. Taki napis widniał na nowo wybudowanym przed wojną więzieniu w Brześciu n/Bugiem. Niemcy mieli je jak znalazł. Z zewnątrz małe, czerwone cegielki tworzyły w swej całości okazałe tło. W środku jednak przywitał nas długi ciąg piętrowych korytarzy i niezliczona ilość zamykanych za nimi okratowanych drzwi. Betonowe podłogi i twarze-piszczele spotkanych więźniów.

Kiedy tak staliśmy twarzą odwrócenymi do ściany, z rękami podniesionymi do góry, któryś z towarzyszy niedoli wyszeptał: „Tut nam uże pohybać”. Tak też pomyślałem i ja. Nikt tu nie miał złudzeń. Tu mieliśmy być wykończeni. Zresztą, jak w każdym obozie. Każdy był tu kruszynką, pyłkiem. Tylko dmuchnąć. Goniono nas w mroźny poranek nago przez podwórze do łaźni i z powrotem. Przy okazji okładano bykowcami, których koniec był zaopatrzony w żelazne kuleczki. W 1942 roku w czasie panującego tyfusu zmarło około 50% więźniów. Wzięło i mnie. Kiedy szedłem w nocy do „paraszy” upadłem nieprzytomny na betonową podłogę. Zawsze gdy byłem chory, dobre ręce matki opiekowały się mną. Jakże ich teraz brakowało, jakże skarżyłem się w półświadomości mojej matuli. Że jestem taki chory, taki biedny... Ale z drugiej strony cieszyłem się, że tego nie słyszy. I tak cierpi, może bardziej ode mnie mając różne czarne przecucia. Mimo braku jakiegokolwiek opieki i lekarstw, organizm wyszedł z tego zwycięsko. W czasie choroby tylko tyle zyskałem, że nie byłem głodny, nie mogłem po prostu nie jeść, chociaż od pół roku marzyłem, żeby choć raz być sytym. Kawalek chleba z otrąb i woda-zupa na obiad to było wszystko. Dlatego też, żadna okruszynka chleba nie spadła mi na podłogę, nawet ta spalona na węgiel.

Warkocz z czerwoną kokardką

Pognali nas do getta, które Niemcy likwidowali. Opuszczone, splądrowane getto przedstawiało makabryczny obraz. Minęliśmy grupkę niedobitków Żydów znalezionych zapewne gdzieś w schowkach.

Eskortowali tę gromadkę, przeważnie starych kobiet i dzieci, gestapowcy z psami. W oczach nieznanymi straceńców nie widziałem nawet już strachu. Przemarznięci do szpiku kości szli jakby pogodzeni ze swoim losem. W tej szarzyźnie błysnęła mi kolorytem czerwona kokardka wpleciona w warkocze jednej z dziewczynek.

Nas zaprowadzono do kopania dużego dołu. Myśleliśmy, że pewno przeznaczony jest także i dla nas. Po wykopaniu odstawiono nas do jednego z opuszczonych budynków. Kiedy gryzłem tam kawałek znalezionej suchara, w stronie gdzie kopaliśmy dół, co jakiś czas padały strzały seriami, to znów pojedynczo. Kiedy umilkły, zaprowadzono nas nad dół, w którym leżały nagie ciała ludzkie, w tym dużo dzieci. Obok stał gestapowiec-kat ćmiąc papierosa, patrząc spokojnie na dzieło swoich rąk.

Kiedy zsypywaliśmy ziemię błysnęła mi w oczy znowu czerwona wstążeczka. Ileż strachu i cierpień musiała przeżyć, gdy rozbierała się wraz z innymi do naga na mrozie, ta może 14-letnia dziewczynka. Co czuło to dziecko, gdy wśród ordynarnych krzyków kładła się na ciepłe jeszcze ciała zabitych, czekając na moment, który kończy wszystko. Teraz leżała nieco bokiem ukazując dopiero rozwijającą się pierś, przytulona do sąsiadki. W szklanych oczach zastygł ogrom przeżyć nagromadzonych w małym ułamku czasu.

Jakże długo widziałem ją potem w swych na wpół sennych wizjach. Porywałem ją w ostatniej chwili z tego dołu, sadzałem na koń i gnałem gdzieś w krainę szczęśliwości lasów i łąk, gdzie była bezpieczna.

Dobre oczy

Był to dzień wigilijny. Jakże przykry dla tych, którzy są z dala od swoich najbliższych. Wspomina się przeszłe wigilie pełne rodzinnego ciepła i radości. Życzenia, upominki, blask strojonej choinki.

Niemcy przeprowadzili w mieście wczoraj jakąś akcję i zapelnili dolne cele więzienia nowymi ludźmi. Przy zamykaniu jednej z cel jakas młoda panienka łkając pytała: Szisen? ja? szisen? Stary Niemiec, który zamykał te drzwi pogłaskał ją po głowie i niemal ojcowskim głosem uspokajał: Nein, nein kinder, nein. Miał dobre oczy dziadzia. Ale myśmy wiedzieli, że sam bezpośrednio wykonuje wyroki.

Dziś pogoniono nas do pracy. Rozbieraliśmy stary, rozwalony dom. Obok był kiosk. Strażnik-Litwin posłał mnie po papierosy, mając mnie na oku. Kioskarka, która nas widać obserwowała przywitała mnie nim zdążyłem coś powiedzieć: Boże! Takie dziecko. A to lotry! Patrzyło na ranie z kiosku dwoje dobrych oczu. Coś mnie ścisnęło koło gardła. Jakże chętnie przytuliłbym się do rąk tej starszej pani. Ale szybko opanowałem się. Nigdy nie chciałem wykorzystywać tego, że jestem dzieckiem, tylko raz w tej piwnicy...

Kiedy wracaliśmy zmęczeni i przemarznięci do szpiku kości, wyleciały z kiosku moje dobre oczy i po prześlągnięciu strażnika otrzymałem małą paczkę, z gałązką jodelki. Na zdrowie synku! Wróc szczęśliwie do matki. Stała jeszcze długo na brzegu chodnika, kiwając przyjaźnie ręką.

Mieliśmy wszyscy w celi po kawałku opłatka, chleba, kiełbasy. A ja jeszcze smak dobroci.

Zatęsknisz za mną

Siedział ze mną w celi Tadeusz. Miał około dwudziestu lat. Posiadał ukryty odbiornik radiowy i oficjalne 5 lat obozu. On to, gdy były spokojne noce, a wszyscy już spali, opowiedział mi dzieje swojej wielkiej szczęśliwej miłości. Może nie wiedział, że sam rozbudza we mnie tęsknotę i uczucia, które przedtem nie istniały. Dotychczas liczyła się tylko Ojczyzna i matka. Dziewczynki zawsze traktowałem jak istniejące zło, które co najwyżej trzeba bronić przed bandytami: Raz to nawet coś tam zrozumiałem. Wyszliśmy konwojowani do pracy za bramę. Nie uszliśmy nawet 100 m, gdy jeden skazaniec wyskoczył z szeregu i wpadł na chodnik, gdzie zwarł się – jak się okazało – ze swoją żoną w pocałunku. Dopadli go strażnicy (szczęście, że go nie zastrzelili), ale żadną siłą ich długo nie mogli rozdzielić. Był to młody żonkoś zabrany zaraz po ślubie do więzienia. Miłość raczej znałem z ordynarnych (choć nie pozbawionych humoru) kawałów. Strażnicy wykorzystywali głód więźniarek i te najmniej odporne wykorzystywali, czego byłem raz niechcący świadkiem. Ale miłość Tadeusza była piękna. Poznali się jeszcze w szkole przed wojną. Już wtedy stanowili nierozłączną parę. Nie zapomniał o żadnym szczególe z tego okresu, o żadnym pocałunku, o żadnym miejscu, gdzie rodziła się i trwała ich miłość. Ale przyszła okupacja. Niedługo potem został aresztowany. Tu, w więzieniu układał wiersze i piosenki. Fragment jednej z nich pamiętam: „Zatęsknisz za mną, gdy Cię znudzi świat. Naszych wspomnień czas nie skreśli, w pamięci będą trwać...”

Nie wiem, czy dotarła do niej ta melodia.

Prawo do zemsty

Komendant Ostlagru, chudy i wysoki nienawidził każdego, kto był Polakiem. Tak z twarzy wyglądało, że nienawidzi wszystkich. Kto mu się nawinał pod rękę, bił harapem. Były wypadki, że strzelał, gdy mu się ktoś wyraźnie nie spodobał. On to wprowadził rozbieranie się do naga, kładzenie na stół (z nogami w powietrzu) i 25 lub 50 bykowców w tyłek.

Wzięto mnie na kuchnię do obierania kartofli. Jeden ze strażników chciał mi dać szansę przetrwania. A już ledwo powlóczyłem nocami. Szansa polegała na tym, że brało się 2-4 kartofle do nogawki i piekło się w kotłowni. Właśnie już tam szedłem, gdy niespodziewanie wyrósł przede mną sam Her Komendant. Wrzasnął coś na mnie, z czego zrozumiałem, co tu robię. Wiedziałem, że za te 2 kartofelki, które miałem w spodniach, dostanę 25 i wyrzucenie z kuchni. Do tego miałem na ciele świerzb. W obozie chorych się wykańczało, a nie leczyło. Te 2 kartofelki mogły zatem oznaczać śmierć albo życie. Nie było innego wyjścia...

Jawohl! – krzyknąłem stanąwszy na baczność, zawróciłem i pędem pobiegłem do piwnicy, gdzie obierano kartofle. Za mną z krzykiem leciał komendant. Ja dałem swoim cynk, kartofle wyrzuciłem i usmarowałem w ziemi ręce, aby świerzb był niewidoczny. Nic przy mnie nie znaleziono, ale bito mnie jak szło. Byłem jednak z tego zadowolony, bo mogło być gorzej. Kiedy jednak Her Komendant do bicia dodał „Du Polnische Schwein”, wtedy jakaś moc wstąpiła we mnie. On bił, a ja patrzyłem mu prosto w oczy. Niech widzą moi, że nie pętał, niech widzi on, że go nienawidzę. Jakże marzyłem wtedy, bym mógł tak bić i mordować jego naród, jego dzieci. Tę radość przeżyłem, gdy ujrzałem w 1945 roku dwóch skutych jeńców niemieckich, biegnących przed koniem ruskiego konwojenta. Ale kiedy z bliska ujrzałem na wpół obłąkane ze strachu oczy, wtedy zamiast nienawiści poczułem niespodziewanie litość. Pomyślałem sobie, że ci dwaj żołnierze Wehrmachtu myślą teraz o swoich żonach i dzieciach, a także o tym, że Sowietom niebawem posieka ich szablami. Miłość i nienawiść?

Jakże często w czasie wojny te dwa uczucia przeplatały się wzajemnie.

Ludobójstwo

Widziałem je na własne nastoletnie oczy, w różnych sytuacjach zadawane. Widziałem jak Sowietom zabierali nagle w nocy ludzi z domów, jak ładowali ich do zamrożonych zimą wagonów, gdzie z głodu i zimna umierały setki ludzi, zwłaszcza dzieci. Niebawem poznałem, co znaczy słowo Katyń i zabijanie bezbronnym jeńców. Stale myślałem, czy wśród nich, nie znalazł się mój ojciec. Gdy w 1943 roku znalazłem się znowu na Wołyniu, po ucieczce z Ostlagru, stałem się świadkiem innego ludobójstwa, chyba okrutniejszego od dwóch poprzednich. Ich inicjatorem był już nie Hitler czy Stalin, ale ukraiński nacjonalizm. To tak zwani banderowcy zaczęli napadać na ludność polską, najczęściej wiejską, która od dziada pradziada pracowała ciężko na tej ziemi. Mordowano zupełnie bezbronnych ludzi od niemowląt do starców, w sposób najczęściej sadystyczny i okrutny, używając siekier, widel i noży. Palono żywcem w domach lub topiono w studniach. Bywało, że nacjonałiści zmuszali do zabijania tych uciekinierów, którzy mieli żony Polki. Przywódcy banderowców wychowani w szkołach hitlerowskich przerośli w okrucieństwo swoich nauczycieli. Policja, która służyła Niemcom, pomagając im w likwidacji Żydów, po przejściu do banderowców w podobny sposób mordowała Polaków.

Będąc w mieście Równem, gdzie było w miarę bezpiecznie ze względu na silne garnizony niemieckie, widziałem przywożonych na furmankach ludzi zabitych. Byli to często ci, których znałem, a którzy wyjeżdżali do wsi, aby pomóc rodzinom w gospodarstwie, czy przy wykopkach ziemniaków. Robili to przecież w poprzednich latach. Tym razem trafiali na napad nacjonalistów lub zwyczajnych zbójów żądnych mordu i rabunku. Przywiezieni zabici byli tak zmasakrowani, że nie mogłem ich rozpoznać. Inni uciekinierzy z Janowej Doliny i innych miejscowości, którzy jakimś cudem uratowali się, opowiadali historię napadu, co mroziło krew w żyłach. W samej Janowej Dolinie, pięknej miejscowości, w której były kamieniołomy, zginęło około 600 osób.

Na szczęście rodzina Rozporskich, z którą żyliśmy w wielkiej przyjaźni, uratowała się, uciekając nocami przez lasy w stronę Równego. Ich najstarszy syn Heniek Rozporski, to harcerz, z którym przed wojną byłem w jednym zastępie.

I takich miejscowości było kilkaset. Tylko w niektórych udało się utworzyć grupy tak zwane Samoobrony (np. w Przebrażu), które broniły się przed bandami nazywającymi siebie Ukraińską Powstańczą Armią, czyli UPA.

Nie raz zastanawiałem się, barykadując drzwi na noc i przygotowując siekiery do samoobrony, co spowodowało, że nagle narody, które żyły obok siebie w spokoju tyle lat, zaczęły siebie nienawidzić. Czy przyczyną była propaganda nacjonalistów, która już wcześniej śpiewała pieśń „Smert Lachom...”, czy może chęć gwałtu i rabunku? Naturalnie, wielu Ukraińców udzielało Polakom schronienia, za co sami byli zabijani. Powiadali, że na samym tylko Wołyniu zginęło kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Kto to

zresztą zliczy, skoro przez wiele lat sprawa tego ludobójstwa ze względów politycznych, była przemilczana.

Kiedy zbliżał się front i Armia Czerwona zbliżała się do Równego była groźba napadu na miasto przez banderowców. Zrozpaczona matka postanowiła skorzystać z podstawionych przez Niemców wagonów, zostawić wszystko i wyjechać do rodziny w Polsce. Kiedy opuszczaliśmy ziemię wołyńską, stanęło przede mną całe wojenne dzieciństwo, które w zasadzie nim być przestało, gdy na Wołyń wkroczyła Czerwona Armia. Już w 12. roku życia znalazłem się w piekle. Trzy ludobójstwa, masowe i okrutne, stały się moją dalszą szkołą życia. Opuszczając Wołyń konfrontowałem czas beztroskiego dzieciństwa, ideologicznego harcerstwa, z tym, co się stało potem w syberyjskich wagonach. W brzeskim Ostlagrze, w żydowskich gettach, w wołyńskich wsiach, gdzie mordowano dzieci i starców, tylko za to, że byli Polakami.

A jednak w styczniu 1945 roku, kiedy zobaczyłem niemieckich nadludzi i przerażonych jeńców, cała moja nagromadzona do nich nienawiść przez chwilę poddała się litości. Zrozumiałem, że wszyscy w swej głębi, każdy człowiek ma sumienie, które w sytuacjach szczególnych gotowe jest przebaczyć drugiemu człowiekowi.

Z tych trzech ludobójstw, dwa pierwsze jakby już zapomniane. Niemcy potępił hitleryzm i zbrodnie przez nich popełnione. Rosja – chociaż po 50 latach – potępiła stalinowskie zbrodnie, w tym Katyń. To trzecie ludobójstwo, którego symbolem stał się Wołyń, bo tam ta rzeź się zaczęła w 1943 roku, nie zostało ujawnione, a przywódcy UPA potępieni. Do tego nacjonałiści ukraińscy czynią próby wyciszenia tej okrutnej zbrodni, w której jest mowa o blisko 500 tysiącach zabitych Polaków, od niemowląt do starców.

Są też próby usprawiedliwienia zbrodni ludobójstwa, różnego rodzaju zaszcłóściami historycznymi lub zwalaniem winy na Polaków.

Jako świadek tego, co działo się na Wołyniu, nie mogę zrozumieć tej fałszywej gry ukraińskich nacjonalistów, dla których od 1943 roku jakby nic się nie zmieniło. Cała Polska patrzyła z oburzeniem, jak potomkowie „rezunów” z Wołynia i Galicji, członkowie nacjonalistycznych organizacji UNA-UNSO, deptali brudnymi buciorami we Lwowie polskie flagi narodowe. Podobnie Polacy, a szczególnie Kresowiaczy, widzieli w telewizji w październiku 1998 roku, jak członkowie UNA-UNSO niszczyli napisy na płycie czołowej Obrońców Lwowa na Cmentarzu Łyczakowskim, demolując nagrobki.

Można zatem przyjąć, że ludobójstwo rozpoczęte na Wołyniu w 1943 roku przez nacjonalistów z UPA, które ciągle mam przed oczami, nie tylko nie doczekało się potępienia, ale – jak ostrzega pisarz ukraiński Wiktor Poliszczak, mój wołyński rówieśnik – w pewnym sensie dalej trwa. Kiedy zabrakło do mordowania żywych, nacjonałiści biorą się za zmarłych. I to w pięknym mieście Lwowie, promieniującym od wielu set lat kulturą na całą Europę, mieście zbudowanym głównie przez Polaków, a straconych z poręki Stalina.

Może też dlatego moje wojenne dzieciństwo, spędzone na Kresach, nie traci swojej mocy pamiętania. Wręcz odwrotnie. Jest coraz bardziej żywe. A oczami zamordowanych dzieci coraz bardziej ostrzeżę przed wybuchem nowej nienawiści przed końcem drugiego tysiąclecia.